ECHO Z AFRYKI.

Wrzesień 1901. Rok IX. Nr 9.

Królowo Niebios Maryo, módl się za nieszczęśliwymi Murzynami!



Aby się stali godnymi obietnic Chrystusowych!

Błogosławione przez Jego Świątobliwość Papieża Leona XIII.

Katolickie miesięczne pismo dla popierania dzieła misyjnego wychodzi w polskim, niemieckim, włoskim, francuskim i czeskim języku. Cena rocznie z pocztą dla Austryi **1** korona **20** halerzy; dla Niemiec **1** mk. **20** fen.; dla krajów związku pocztowego **2** fr. **50** cent.; dla Rosyi **1** rsb.
Adres dla przesyłania prenumeraty i ofiar: Kraków, Starowiślna Nr 3.

„Męczenniku miłości dusz, módl się za nami!“

(na 9. września).

Wkrótce obchodzić będzie Kościół święty a z Nim w szczególny sposób nasza Sodalicya uroczystość wielkiego Patrona misyj murzyńskich, **Św. Piotra Klawera.** Życie tego Apostoła Afryki, wielu kochanym Czytelnikom naszym zapewno jest znane, niejednokrotnie bowiem podawaliśmy takowego streszczenie. Mało jednak wśród nas może — takich, którzyby Św. Piotra Klawera szczerze czcili i wzywali. A przecież nienapróżno otrzymał ten Święty Pański miano *„Wielkiego Cudotwórcy“*, *„Ucieczki nieszczęśliwych“*, *„Czułego Ojca sierot i ubogich“* i t. d. Niech każdy zechce o potędze wstawiennictwa Jego i Jego opieki sam się przekonać. Jakżeby nie miał On ze szczególną miłością i wspaniałomyślnością tych wysłuchać, którzy modlitwą

i jałmużną Jego ukochanym murzynom przychodzą w pomoc! On, co był tych murzynów apostołem, ojcem, pocieszycielem — *niewolnikiem* nawet w ciągu swego życia!

Wszyscy członkowie i zelatorowie Sodalicyi Św. Piotra Klawera, jak wogóle wszyscy, którzy popierają sprawę zniesienia niewolnictwa, mogą dnia 9. września w uroczystość Apostoła misyj murzyńskich, Św. PIOTRA KLAWERA, dostąpić zupełnego odpustu na zwykłych warunkach.

Brewe Jego Świątobliwości z dnia 26. września 1893.

TRZECIE PISMO POCHWALNE
Św. Kongregacyi „de Propaganda fide"
do Generalnej Kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

TREŚĆ:
O Kardynale Opiekunie i Statutach Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

PROTOKÓŁ: N. 42354.
Do J. W. Hrabiny Maryi Teresy Ledóchowskiej, Gener. Kierowniczki Sodalicyi Św. Piotra Klaw.

Rzym, 2. kwietnia 1901.

Jaśnie Wielmożna Hrabino!

Biorąc pod uwagę list Pani, pisany w styczniu r. b., a poruszający różne kwestye Sodalicyi Św. Piotra Klawera dotyczące, postanowiłem Ojcu św. przedłożyć prośbę Pani o naznaczenie Kardynała Opiekuna dla Zgromadzenia *). Cieszy mnie możność doniesienia Pani, że **Ojciec św. pobożnej Jej prośbie zechciał uczynić zadość, Sam naznaczając J. Em. Kardynała Ciasca na Opiekuna Sodalicyi...**

Dalej Kardynał Prefekt Propagandy zachęca Generalną Kierowniczkę Sodalicyi do porozumienia się z nowym Kardynałem Opiekunem jak najprędzej, aby u Rzymu zatwierdzenie statutów uzyskać; kończąc wyraża nadzieję, że z pomocą Bożą spełnią się Jej pragnienia do tego tylko zmierzające, aby działalność całą, w tak wspaniały sposób misyom afrykańskim poświęconą, na pewnej oprzeć podstawie.

Tymczasem proszę Boga o zdrowie dla Pani.

Życzliwy sługa

Luigi Veccia, Sekretarz. *M. Kardynał Ledóchowski.*

*) Kardynała Opiekuna mieć mogą te tylko Stowarzyszenia, które już otrzymały jedno urzędowe pochwalne pismo. (Sodalicya otrzymała takowych dwa).

POSTANOWIENIA POWZIĘTE NA KONGRESIE ANTYNIEWOLNICZYM

w Wiedniu 20—22 listopada 1900 r.

III. SESYA.

Propaganda na usługach misyj.

A. Czasopisma i broszury misyjne.

(Ciąg dalszy).

Zważywszy:

że czytanie o misyach ożywia wiarę i napełnia dumą z tego, iż należymy do Kościoła, który w swej odradzającej się młodzieńczej świeżości, dokonywa dzieł tak wielkich;

że zaznajomienie się z moralną i fizyczną nędzą biednych pogan, tudzież z ofiarami i ubóstwem misyonarzy, niemało przyczynia się do zadowolenia z własnego losu, do wdzięczności względem Stwórcy i bezinteresownej miłości bliźniego;

że czytanie o misyach jest doskonałym środkiem przeciwdziałającym współczesnemu duchowi czasu, zaleca I-szy Austryacki Antyniewolniczy Kongres:

1. prenumeratę wydawanych przez rozmaite Stowarzyszenia misyjne czasopism. Co najmniej jedno takie czasopismo krążyć powinno wśród każdej katolickiej rodziny.

2. prenumeratę, co miesiąc przez Sodalicyę Św. Piotra Klawera w pięciu językach wydawanego czasopisma p. t. *„Echo z Afryki“*, które zapoznaje z działalnością misyjną w całej Afryce, tak, że bardzo jest do życzenia, by znajdowało się ono obok tego, lub innego organu pojedyńczych Stowarzyszeń.

3. pożyczanie i rozdawanie, wedle możności, wzmiankowanych czasopism misyjnych publicznym czytelniom, parafialnym i ludowym bibliotekom, jakoteż osobom, które takowych prenumerować nie mogą; przyjmowanie w tym celu od chętnie to czyniących redakcyj, egzemplarzy bezpłatnie rozsyłanych, albo też prenumerowanie w ciągu roku, całego czasopisma, jako podarek dla przyjaciół, lub podwładnych. Przeznaczenie tegoż na wygraną przy grze w loto i t. p.

4. oddawanie pierwszeństwa przy wyborze upominków, gdy nastręcza się sposobność, jednego z tylu zajmujących dzieł, które misyj dotyczą. Ofiarowywanie dzieł tych na Gwiazdkę, rozdawanie jako nagród w szkołach, jako premij i t. p.

(D. c. n.).

SODALICYA Św. PIOTRA KLAWERA,

PRZEZ

Dra HUGONA MIONI.

(Ciąg dalszy).

6. Sodalicya Św. Piotra Klawera — Kongregacya zakonna.

Powiedzmy coś teraz o istocie Sodalicyi. Jądro Sodalicyi Św. Piotra Klawera stanowi Kongregacya zakonna, której pobożny związek ludzi w świecie żyjących, przychodzi z pomocą. Jądrem zatem Sodalicyi jest Stowarzyszenie zakonne, ukształtowane na wzór innych Kongregacyj w Kościele katolickim kanonicznie zatwierdzonych. Wyraźne pozwolenie założenia Sodalicyi dał sam Ojciec św. Leon XIII. hrabinie Maryi Teresie Ledóchowskiej, która ua prywatnej audyencyi dnia 29. kwietnia 1894 roku, plan całego Stowarzyszenia na piśmie Jego Świątobliwości przedstawiła.

Arcybiskupi i Kardynałowie Austryi, Włoch i Niemiec, dali swą aprobatę ustawom generalnym Sodalicyi, aż wreszcie Jego Eminencya Kardynał Jan Dr Haller, Książę Arcybiskup Salzburga Stowarzyszenie i takowego ustawy zatwierdził dnia 16. kwietnia 1897 r. w Wielki Piątek, przez co Sodalicya Św. Piotra Klawera do stopnia Kongregacyi zakonnej wzniesioną została. Członkowie internatu (Sodaliski) wiążą się ślubami z początku czasowo, później na życie całe. I tak szczególnemi drogami Boskiej Opatrzności, Sodalicya Św. Piotra Klawera ukształtowała się jako zakonna Kongregacya, nie zaś jak zwykły związek ludzi świeckich.

Misyonarze afrykańscy, jak to wyżej powiedzieliśmy, potrzebują naszej pomocy; ale pomoc ta musi być stałą, dobrze zorganizowaną i systematyczną, co może wówczas tylko nastąpić, gdy Kongregacya zakonna kierować nią będzie.

Misyonarzom nie chwilowe wsparcie, które dziś jest, a jutro znika, jest potrzebne; lecz stale trwające, na któreby zawsze liczyć mogli. Pewność, że nietylko w danym razie, ale i w przyszłości wspomagani będą; że i w przyszłości środki do życia dostarczone im zostaną: pozwala im z myślą swobodną brać się do dzieła, spokojnie do prac apostolskich ręki przykładać.

Zapał ludzi pojedyńczych nie trwa długo: kilka dni, parę miesięcy najwyżej, poczem gaśnie ogień najświętszego zapału. Choćby z jakiegobądź powodu, ktoś misyami żywo się interesował: przeznaczy on pewną na ten cel sumę, z czasem o tem zapomni, ręka się zamknie, źródło wyschnie. A jeżeli nawet gorętsze dusze utworzą w celu wspomagania misyi pobożny związek, to i ten się nie utrzyma, doświadczenie bowiem uczy, że najlepiej zorganizowane związki w pierwszych latach trwania swego kwitną, potem jednak podupadają powoli, aż wreszcie rozwiązują się zupełnie, lub z imienia tylko istnieją. Fakt zatem, że Sodalicya w ręce swoje sprawę misyj afrykańskich bierze, zapewnia tymże misyom na sil-

nym gruncie opartą przyszłość. Członkowie Sodalicyi ślubują zupełnie i na zawsze misyom afrykańskim się poświęcić; nie chwilowo zatem, nie w ciągu krótkiego czasu, lecz przez całe życie. Wszędzie popierają oni te misye, starając się słowem i pismem coraz szersze koła dla Afryki pozyskać; zapał u wielu prędko gasnący podtrzymać; i by ta szlachetna działalność z ich śmiercią nie upadła, znaleźć następców, którzyby rozpoczęte dzieło dalej prowadzili. Tym sposobem zapewnioną jest misyom propaganda trwała i stała pomoc.

Żeby jednak ta propaganda, za pośrednictwem której pieniądze i powołania się zdobywa, dobrze *zorganizowaną* pozostała i jasno wytkniętą kroczyła drogą: trzeba, żeby znajdowała się w rękach zakonnej Kongregacyi. Tylko w tym wypadku może ona we wszystkich krajach jednozgodnie być czynioną; tylko w takim razie przeniknie wszystkie warstwy społeczne; i, bez względu na granice polityczne i językowe różnice, cały świat ostatecznie ogarnąć zdoła.

Wreszcie misye przez Sodalicyą są wspomagane systematycznie. Jeżeli wszystkie misye w Afryce pomocy potrzebują, to przecież jedne większy, inne mniejszy cierpią niedostatek, a w niektórych pojedyńczych stacyach misyjnych nędza i potrzeba wsparcia do takich dochodzą rozmiarów, że w razie braku szybkiej pomocy, misya skazaną zostaje na zagładę, a co za tem idzie, setki dusz na chwilę promieniem wiary oświeconych, popadają na nowo w ciemności pogaństwa. W jednej części Afryki szerzy się głód, wojna, prześladowania; w innej przeciwnie — grunt jest urodzajny, w kraju panuje pokój. Tam kosztem tylko wielkich ofiar pieniężnych i niezmiernych trudów można Ewangelią wśród pogan szerzyć; gdzieindziej serca są już przygotowane do przyjęcia prawdziwej wiary, tak, iż wystarcza połowa zasobów materyalnych w pierwszym wypadku zużytych. Jednostka pojedyńcza nie może być dokładnie powiadomioną o potrzebach licznych stacyj misyjnych, gdy więc prosto do Afryki dar swój posyła, zdarza się często, że stacye misyjne w mniejszej zostające potrzebie otrzymują bardzo dużo, podczas gdy innym, wśród obaw i troski o istnienie swe walczącym, nic się nie dostaje.

Sodalicya Św. Piotra Klawera prowadzi ze wszystkiemi w Afryce czynnemi Kongregacyami misyjnemi ożywioną korespondencyę. Stąd zna ona dokładnie potrzeby pojedyńczych stacyj, wie *co* i *kiedy* trzeba im posyłać. Gdyby wszystkie datki miłosierne dla Afryki katolików świata całego, dostawały się w jej ręce, misye byłyby najsystematyczniej i najlepiej wspierane, żadna stacya nie znajdowałaby się w ostatecznej nędzy, gdyż najpierwiej wspomaga Sodalicya biedniejsze i bardziej potrzebujące.

Widzimy tu godny uwielbienia rys Boskiej Opatrzności. Dokąd Afryka była mało znaną, a ilość misyonarzy niewielką, wystarczała pomoc ludzi pojedyńczych; teraz, gdy niemal cała zbadaną została, gdy tysiące wysłanników Bożych błogosławioną tam rozwija działalność, a potrzeby różnych Kongregacyi misyjnych coraz większą przedstawiają rozmaitość: powołuje Bóg do życia nową zakonną Kongregacyę, która cały świat silną ujmuje ręką, wszystkie zaś środki wsparcia zjednoczyć się stara, ażeby misyom nieść pomoc stałą i dobrze zorganizowaną. *(C. d. n.).*

*

PODRÓŻ DO CAP COAST NA ZŁOTEM WYBRZEŻU.

(Afryka zachodnia).

PRZEZ

Wiel. O. M. Albert'a, Prefekta apostolskiego Złotego Wybrzeża.

Dalej! kochani przyjaciele, w podróż dla przyjemności na Złote Wybrzeże! Niebo bez chmurki i morze spokojne obiecują pomyślną żeglugę. Dorosły i mały, bogaty i ubogi: każdy może wziąć udział w tej dalekiej wycieczce dla prostej przyczyny, że takowa się w myśli odbywa. Na pokład więc, panie i panowie! Na pokład! Chorągiew na wielkim maszcie wywieszona, pochyla się trzykrotnie na pożegnanie pięknego Hamburga. Olbrzymi parowiec zachwiał się i już mknie po miękkiej fali... Jesteśmy w podróży. Niech żyje morze!

Z szybkością błyskawicy wśród niezmiernej posuwamy się przestrzeni. Nie zdążyliśmy jeszcze z chorobą morską się zapoznać, a oto już i pas podzwrotnikowy. Odświeżający balsamiczny prąd powietrza ojczystego, nie dosięga nas w tych stronach. Powiew pustyni resztki szarańczy w stronę Senegalu rzucający, króluje tutaj.

Ranek wielkiego dnia Zielonych Świątek zabłysnął. Słońce wynurza się z głębi wód całe lśniące. Powierzchnia morza zamieniona w srebrną zwierciadlaną taflę. Uroczystość nawrócenia świata się zapowiada; musimy mieć Mszę św. Za zgodą kapitana, misyonarz ołtarz wznosi na pokładzie i tam, nad głębiną bezmiernego oceanu, składa Bogu, wobec kornie pochylonej załogi, najwyższą ofiarę. O, cóż to za widok, tej Mszy św.! Okręt jest tam ołtarzem, sklepienie nieba — świątynią, a szum fal — modlitwą ze śpiewem się spływającą! Ale niema radości, którejby nic nie zamąciło. Koło czwartej popołudniu, nieznaczna czarna chmura ukazuje się na skraju widnokręgu i zbliża się krokami olbrzyma w towarzystwie dolikatnego wietrzyku, który wkrótce na wiatr, a nieco później we wściekłą zamienia się burzę, ściągając potop przypominającą ulewę na nasze głowy. Możnaby sądzić, że ostatnia wybiła godzina; ale nie bójcie się, zjawisko to mija równie prędko jak przychodzi. Naraz burza cichnie, morze się uspokaja, i, napędziwszy na chwilę strachu, niebo tak pogodne, jak było przedtem, powietrze zaś odświeżone nowe wlewa w nas życie. Koło szóstej znowu zmiana daje się widzieć. Niebo, dotąd błękitne i pełne blasku, staje się nagle ciemnem. W kilka minut pogrążeni już jesteśmy w cieniach nocy. Co to jest? Nic nadzwyczalnego, kochani przyjaciele: noc tylko. Nie wyobrażajcie sobie, że jesteście jeszcze w Hamburgu, gdzie dzień trwa 2 lub 3 godziny po zachodzie słońca. Na wybrzeżu Afryki jest inaczej. Zaledwie słońce znika, czarna noc płaszcz swój rozpościera. Zrana wprost przeciwne, lecz podobne zjawisko ma miejsce.

Ale oto rozległ się strzał armatni, statek zatrzymuje się, przybyliśmy do Cap Coast, a raczej jesteśmy tylko o 1 lub 2 kilometry od miasta tego



Siostry z Kongregacyi Najśw. Panny z Namur.

oddaleni, wielkie bowiem okręty bardziej zbliżyć się nie mogą z powodu mielizn i skał podwodnych. Ściskamy rękę miłego naszego kapitana, życząc mu pomyślego powrotu... i znów jesteśmy w drodze, a raczej w małem czółenku. Teraz baczność, kochani przyjaciele! Nie ruszajcie się, bo moglibyście przewrócić ten kawałek wydrążonego drzewa, a wówczas kąpiel morska byłaby jednem z najmniej niemiłych następstw. Wiadomo, że rekiny w znacznej ilości tu przebywają, umieszczając statek dnem do góry, możnaby z łatwością, acz wbrew życzeniu, schronienie znaleźć we wnętrzu tych drapieżnych potworów. Wątłą łódź naszą pchnie ku wybrzeżu ośmiu tęgich murzynów, siedzących na skraju tej łupiny i zbrojnych w wiosła. Jeden tylko stoi i steruje. Pospolicie zowią go starym wilkiem morskim. Ale największe niebezpieczeństwo nie minęło. W miarę, jak zbliżamy się do lądu, bałwany rosną, morze staje się burzliwszem, nieprzeparta siła pędzi fale z szybkością zawrót głowy sprawiającą ku wybrzeżu, o które rozbijają się z przeraźliwym łoskotem. Straszne to i wspaniałe zarazem; trzeba jednak samemu przeprawę taką przebyć, żeby mieć o niej pojęcie. Niejednemu przyniosła ona zagładę. A jednak stary marynarz, niespokojnym wzrokiem przestrzeń ogarniając, zdaje się wyczekiwać tylko przyjaznej chwili. Gdy nadeszła: wydaje okrzyk przeraźliwy i rozpaczliwe czyni ruchy. Towarzysze ostrzeżeni wiosłują, ile sił starczy. Naraz wskakują do wody, chwytają was i stawią zdrowych i całych na suchym piasku. Zapewniwszy napiwek naszym murzynom (co jest niezbędne choćby ze względu na sternika, który w przeciwnym razie dałby wam, przy sposobności wody morskiej zakosztować), kierujemy się ku murzyńskiemu miastu.

Cap Coast jest to nazwa dana mu przez Anglików, krajowcy nazywają je Ogua, co znaczy — rynek. W istocie ludy środek Afryki zamieszkujące sprzedają tu swoje produkta, a nabywają płody Europejczyków. Miasto ma 35.000 mieszkańców; wznosi się ono na zboczu kilku wzgórzy, co mu malowniczości i znacznego obszaru nadaje pozór. Przede wszystkiem uderza nas dziwaczna budowa domów ulepionych z błota lub gliny. Są to cztery ściany, na których spoczywają poprzecznie pnie drzewa również gliną pokryte. Dach, jak łatwo to sobie wyobrazić, jest platformą niczem nie zabezpieczoną. I cóż stąd wynika? Oto deszcz rozpuszcza glinę, niszczy drzewo i pewnego pięknego dnia dach zapada, miażdżąc nieszczęśliwych mieszkańców. Każdego roku, szczególnie w czasie pory deszczowej, życie kilku istot ludzkich w ten sposób zostaje przecięte. Przed dwoma laty ze dwudziestu naszych młodych ludzi zgromadziło się z powodu jakiejś uroczystości w jednej z dziur takich. Zaledwie mieszkanie opuścili w celu uczynienia wycieczki do lasu, budynek runął. Jakież było ich zdziwienie, gdy za powrotem znaleźli tylko kupę gruzów!

A teraz wejdźmy do wnętrza tych nędznych schronisk; niezapomnijmy tylko zaopatrzyć się w kamforę lub wodę różaną, zabójcze bowiem powietrze tych nor strasznych, mogłoby was odrazu na ziemi rozciągnąć. W jednym kącie ciemnej izby (nieraz drzwi są jej jedynym otworem), znajduje się na ziemi mata z sitowia mniej lub więcej wytłuszczona. Zwykle stanowi ona wspólne posłanie całej rodziny, chyba, że któryś z takowej

członków przekłada spoczynek pod gołem niebem, chustą za ubranie mu służącą się owijając. Obok znajdują się trzy kamienie kocioł podtrzymujące. To cała kuchnia. Jeszcze dalej, ale w tej samej izbie, mieszczą się kury, kaczki, a nieraz i barany. I cóż powiecie! Oto ten sam pokój będący przytulkiem różnych ludzi, zwierząt i rzeczy, staje się od czasu do czasu cmentarzem. Murzyn kocha swych nieboszczyków, to też grzebie ich w swym własnym domu i sam do snu się układa na grobie. I ja miałem sposobność spać na mogile umarłego, muszę jednak wyznać, iż ten spoczynek nie należał do najsłodszych. Łatwo teraz wniosek wyprowadzić, że w tych warunkach choroby muszą być bardzo liczne. Spotyka się chorych okrytych ohydnemi ranami od stóp do głowy. Niedołężni starcy są prawie zupełnie opuszczeni. Widziałem takich, co gryźli z głodu paznogcie. Inni stają się pastwą robactwa za życia jeszcze. Ci to nieszczęśliwi są przedmiotem starań misyonarza. Daje on im potrzebne lekarstwa, głód ciala zaspakaja, a za pośrednictwem wody Chrztu św. otwiera im niebo. O, jakże się oni cieszą, gdy ich odwiedzamy! Całują nam ręce, czołem proch zmiatają, by wdzięczność nam swą okazać. Tego roku, dzięki datkom kilku miłosiernych osób, mogliśmy się zdobyć na budowę małego szpitala. Niestety! szpitali takich potrzebowalibyśmy o 2 lub 3 więcej... Ale nie opuszczajmy murzyńskiego gospodarstwa, zanim ujrzymy mieszkańców przy jedzeniu. Głowa rodziny wraca właśnie z wybrzeża, czy też lasu z siecią i torbą myśliwską napełnioną ptastwem. Zawiesza on strzelbę na ścianie, składa swą zdobycz i głosem władcy domaga się obiadu. Żona prędko wywiązuje się z nakrycia stołu dla tej prostej przyczyny, że nie ma nic do nakrywania. Posiada ona tylko kocioł, w którym znajdują się przyrządzone już dzikie gołębie. Na dany znak dzieci nadbiegają i za chwilę wszyscy leżą dokoła. Pan domu rozpoczyna ucztę. Bierze kęs jadła i wypluwa takowy na ziemię; jest to część przypadająca w udziale przodkom. Uzbrojony w widły adamowe chwyta następnie gołębia, dzieli go bez pośrednictwa noża lub widelca na części i wyznacza porcye dla każdego z członków rodziny, spożywszy sam kęs najlepszy. Co się tyczy sosu, każdy pogrąża rękę w garnku i, oblizując następnie palce, usiłuje, ile się da, organizmowi przyswoić. To mi wzbudzająca apetyt scena! Po skończonej ceremonii biesiadnicy starają się zdobyć kawałek chleba, oblizują palce po raz ostatni, lub je wycierają o chustę, którą są w połowie okryci, poczem oddalają się tak jak przyszli.

Chleb może was zaciekawia? Oto jak go przyrządzają (jeżeli dowiedziawszy się, zechcecie skosztować, możecie zadowolnić się w tym względzie najzupełniej). Murzynka go fabrykująca, bierze bukurudzę i wkłada do zwykłego kotła, dolewając doń trochę wody. Gdy kukurudza dostatecznie rozmoknie, wyjmuje takową garść po garści, rozgniata zapomocą dwóch kamieni i otrzymuje żółtawe ciasto, następnie rozczynia je, a gdy ta masa stanie się lepką, zanurza w niej obie ręce i ugniata kule wielkości głowy dziecka. Kule te pokrywa liśćmi banana i wkłada tak przygotowane do gorącego pieca, w którym ciekawe te okazy schną raczej, niż się pieką. Przed spożyciem zostają one oczyszczone z liści i krajane lub też rozciskane palcami; ten ostatni sposób, według przekonania murzynów,

prędzej zbliża do celu. Strawa ta ma smak mdły i wstrętny, to też delikatne podniebienie Europejczyka nie łatwo z nią się godzi, podczas gdy dla murzyna jest ona przysmakiem. To — jego chleb powszedni.

Słowo piec przy opowiadaniu nam się wymknęło. Przyrządy te, chcąc być ścisłym w wyrażeniach, nie można nazwać wytwornymi, niemniej jednak cel istnienia swego osiągają, a murzyn więcej nie wymaga. Młoda murzynka za pierwszą czynność po swych zaślubinach, uważa zbudowanie pieca. Jest to zresztą dla niej kwestya kilku godzin. Gromadzi ona w tym celu przed drzwiami domu kupę suchego piasku, mniej więcej wysokości 0,75 m. i pokrywa ją starannie dość grubą warstwą miękkiej gliny. Gdy ta skorupa dobrze wyschnie, t. j. po upływie tygodnia prawie, młoda gospodyni robi otwór przy samej ziemi i ręką usuwa piasek z wnętrza. Sklepienie z gliny pozostaje i piec — zbudowany. Niechże mnie teraz kto powie, że murzyn nie jest przemyślnym!

Ubranie ubogich mieszkańców Cap Coastu stanowi płachta gruba i nieraz cała w szmatach, szczodrzej zaś przez fortunę uposażonych — takaż płachta jedwabna. Co się tyczy gentlemanów, t. j. tych, co już liznęli cywilizacyi europejskiej, małpują oni dość zręcznie swych zamorskich dobroczyńców. Możność przypatrywania się tym dziwacznym strojom, jest prawdziwą rozrywką. Niesłychane powodzenie mają u nich cylindry, kołnierzyki, obawie skrzypiące, łańcuszki do zegarka (zegarek, ponieważ go się nie widzi, nie należy do stroju), okulary rozmaitego koloru i t. d. Znajdują się nawet tacy, którzy na dowód, że są w posiadanin koszuli, wkładają ją na wierzch jako bluzę. Widoku tych ekscentryczności opisać niepodobna.

Klimat Cap Coastu należy do najbardziej zabójczych na świecie całym. Żółtaczka i żółta febra niezmierne tu wyrządzają spustoszenia. Europejczyk może tam zaledwie rok przebyć lub dwa lata, poczem musi wracać do ojczyzny, jeżeli chce niemal pewnego uniknąć skonu. Nazwano też ten kraj „Wybrzeżem śmierci“, a jeszcze lepiej: „Grobem ludzi białych.“ W przeszłym roku zaraza szerzyła się tu w sposób przerażający; na ośmiu misyonarzy w misyi katolickiej w ciągu kilku dni czterech padło ofiarą. Zwierzęta domowe również mało odporne w tym względzie, jak i człowiek. Koń ginie zwykle po dwóch lub trzech miesiącach. Toż samo dzieje się z mułem i osłem. Krowa niknie w oczach; to też mleka w tych stronach mieć nie można. Ale co jest najciekawszem, nawet pies ulega gorączce i rzadko kiedy rok, lub dwa lata przeżyć może. Murzyn znosi ten klimat nieźle, chociaż śmiertelność, szczególnie wśród małych dzieci jest wielka; niedbalstwo rodziców jest tego przyczyną.

(C. d. n.).

KRÓL ARCYKATOLICKI
u świtu XXgo stulecia.

PRZEZ

O. Ganot'a, misyonarza nad Nigrem.

Czcig. Ojciec Lejeune *), prefekt apostolski nad Dolnym Nigrem, doniósł nam niedawno o wyborze Samuela Okosi, katechety tamtejszych chrześcijan, na władcę Oniczy, królowej miast nad brzegiem rzeki się wznoszących.

List ten tak radosny czcig. misyonarza, był niejako łagodnym promieniem nadziei dla serc wszystkich katolików. Jesteśmy radzi, że możemy go uzupełnić budującymi szczegółami wybranej duszy Samuela Okosi dotyczącymi.

LIST CZCIG. O. LEJEUNE
do J. Em. Kardynała Ledóchowskiego, Prefekta św. Kongregacyi Propagandy.

15. grudnia 1900 r.

„Eminencyo, serce Wasze napełni się radością na wieść, że lud Oniczy wybrał jednogłośnie na potężnego króla, któremu przysługuje prawo sprzedaży i wyzwolenia swych poddanych, tudzież — życia i śmierci nad nimi, jednego z głównych katechistów w Aguleri, Samuela Okosi Okolo. Przed siedmiu laty Samuel był protestantem, ewangielikiem, nieprzyjacielem zażartym katolickiego Kościoła. Nasze szpitale, przytułki i żłobki, nasz szpital trędowatych, nasze wsie wyzwoleńców i miłość nasza, nawróciły go również jak dyakona Eufremiusza, tudzież ewangielików: Jakuba, Karola i drugiego Samuela.

W ciągu siedmiu lat bawił on w Nsube i Aguleri. Współobywatele jego przybyli tu przed czterema miesiącami, by go przeciwstawić jako kandydata synowi byłego króla pogańskiego, poganinowi także, oraz współzawodnikowi misyi protestanckiej.

Według praw ludu Oniczy, nie mógł on być królem, powinien był zostać nawet z kraju wygnanym, gdyż nie zgodził się na zabicie dwóch synów swych, bliźniąt, zeszłego roku. Pomimo nacisku protestantów i oddziału wojska z nad Nigru, pomimo wyraźnie zaznaczonej swej woli odrzucenia bałwochwalstwa: został okrzyknięty królem i rząd zatwierdził go na tem stanowisku.

---

*) Z innego całkiem powodu wypisaliśmy nazwisko Ojca Lejeune na str. 88 Nru 7-go „Echa", może łaskawi Czytelnicy sięgną, po przeczytaniu tego, po tamten numer naszego pisemka, nie odmawiając mu swej szczególnej uwagi. *(Przyp. Red.)*.

Pierwszym czynem nowego monarchy było oddanie O. V., swemu spowiednikowi, wielkiego królewskiego bożyszcza, czyli kawałka drzewa, którym posługiwali się królowie przy miotaniu przekleństw i skazywaniu na męki śmierci nieszczęśliwych niewolników; drugim — umieszczenie pięknego krzyża (który mu sam ofiarowałem, otrzymawszy go od „Dzieła apostolskiego“ w Paryżu), na tronie z prawej strony, aby wszyscy jego poddani: poganie, protestanci i katolicy, padali na twarz przed tym znakiem Odkupienia.

Każdy, kto przed królem staje, nietylko zgina kolano, ale czołem ziemi dotyka. Samuel nie przyjmuje tych honorów dla siebie, lecz pragnie ich dla swego Boga: *„Non nobis, Domine, sed nomini tuo da gloriam!“*

Trzeci czyn jego jeszcze bardziej był wspaniałomyślnym. Ofiarował nam on kawałek ziemi ze swych posiadłości, by wznieść na nim kaplicę i szkołę, które w obecnej chwili już się budują. Zanim ten kościół drewniany zostanie ukończony, lekcye katechizmu, również jak wszystkie inne odbywają się w jego własnym domu, gdzie 60 do 80 dzieci i młodych ludzi, wolnych i niewolników, słucha razem nauki religii pod króla dozorem.

Wreszcie, w sam dzień wyniesienia swego na tę godność, oświadczył on, że ofiary i przekleństwa się skończyły, odmawiając poświęcenia kozy dla uspokojenia rzeki, tudzież poddania się zwyczajom obrzydliwym, jakie towarzyszą zwykle obiorowi nowego władcy.

Duże miasto Onicza otoczone jest drzewami, dokoła których przywiązano szmaty we krwi zmoczone. Drzewa te liczą się na setki; jedne — stuletnie olbrzymy, drugie młode — posadzone zaledwie w przeszłym roku. Wszystkie — przypominają ofiary ludzkie. Samuel oddając Ojcu V. pamiętny kawałek drzewa do przeklinania i naznaczania ofiar na zagładę przeznaczonych służący, samym tym faktem uniemożebnił w przyszłości składanie takich ofiar.“ (C. d. n.).

Wykaz datków znajduje się na 2. stronie okładki.

Zamknięcie redakcyi 20. sierpnia 1901.

Za wydawnictwo i redakcyę odpowiedzialny: Wojciech Adamski.

W Krakowie. Czcionkami drukarni »Czasu.«